

Wincenty Burek

# J e d y n a k

Aż głucho w chałupie, tak warczą na siebie wściekłe słowa, parkotają krzykiem i furją niezhamowaną. Słowa doskakują do słów, jak zganiane psy, nieopamiętane, wzburzone, spalone gorączką złości. Kłębą się w ścianach izby, kotłują w chyżych miotach, bałwanią się i gromko rozpękają w dziki wrzask, w dudniący grzmot. A wśród tego nieustannego grzmotu co raz to wylatuje, podobne gądkę pioruna w czas nawalnicy, wciąż to samo namolne i bez odmiany:

— Oddej. Oddej. Rabusiu, oddej!

Skoślawiły się te słowa, podarły i ochrypiły. Już nie słowa, nie jeden rozdłużony gadzi wizg przelewał się z gardła rozjuszonej baby, całej w skurczu złości i krzyku. Złość rozmachała jej ramiona dygotką, rozczapierzyła paluchy, to znów zwinęła twardą pięść groźby i pomsty. Złość synęła na gębę popiół i ustawiła się oczami — węglami. To nie sąsiadka, nie Krysina stoi w progach, ale jakaś furja ciska się w chybłych podrygach, i wrzeszczy, i piekli się, i nie ino to jedno:

— Oddej, zrazo, Oddej!

Stach Plaza czuje, że jeszcze chwilę, a nie będzie już mógł strzyść tego babiego darcia. Ręka aż swędzi, żeby chwycić jedzę za bary i wycisnąć z izby na pysk. Gorące fale biją do głowy i zalewają mózg, coś podrywa z miejsca i pcha gwałtem do rozprawy. Resztą ka zastanowienia broni się chłop przed bodącą chętką, chce papierosem uciszyć ten swój niespokój, ale i papierosa ulepić nie sposób, ręce dygotają, machora sfruwa z bibułki na ziemię. Tyle się nagaża, tak natłumaczył babie na różnych sposob, w garle mu zaschło od krzyku, żeby ją przegadać, wziąć górę siłą głosu — i wszystko naprózno. Nie poradził. On to — ona tamto. Ani tak, ani siak — z babą nie pokurasz, gdy się na czem uprze kamieniem. A ta Krysina uparła się, złamać, i ani ją przepać. Uparła się, sekutnica, i widać się jej nie sprzykrzy bluźnąć temsamem:

— Oddej!

„Wypchnę ją, to mi skoczy do oców. Narobi wstydu!“ — waga się Stach Plaza i przebiera w myślach, co zrobić z babą. „Jeszcze pocierpie matowida. Jak się darsu wybrecho, wybrecho, to może jako da się przecie rozłomaczyć“. Trochę spokojniejszy, znowu popróbował zwinąć kłaka machory wóli palenia.

Schrypiły jaszgot Krysiny zaczął się powoli prześlizgać i przemieniał się po czasie w świszczący, jadowity szep. Baba wyraźnie ustala. Rękę przywarła do piersi, jakby tym ruchem chciała uciszyć burzę, co się w niej tam w środku rozkorkazywała. Zaspany oddech wylatywał z otwartych ust. Zdzyszany głosem zachrząściła:

— No, oddos mi, cy nie! Musis. Nie ustąpie.

Stach Plaza spostrzegł, że narazicie baba odnalazła dla swojego głosu jakieś łagodniejsze nuty. Że może wrzescie uda mu się ułagodzić rozżarty gniew. Ano i trafić perswazją w upór nieprzewalczony. Cmoknął dyma raz — drugi, splunął i sprawiedliwym rozbrzmieniem słów odpowiedział:

— Co ni mom oddać. Oddom. Zaroz oddom, jak jno bede miół.

— A mnie teraz potrzea. Wis, ze piniódze gwołtem są mi potrzebne.

— Jo wiem, jo woni nie zapiorom, ino skąd jo tyle wezne? Przecie nie stworze...

— A co mi do tego. Skąd chcesz, to bierz, a jo swoje mić muse.

— Musiele?... — Głos zatrząsł się chłopu raptem.

— A co! Zabroleś moja pracę i teraz nic się nie myślś? Dokąd bede cekała!...

Siaki taki spokój w gadaniu rozburzał się podawnemu wśród pospólnych kwasów, a ponajwięcej od inakszego patrzenia na tę samą rzecz, Krysina odpasnęła widząc natyla, ażeby skrzepić se głos, bo zaiebaczkę trzasnęła Plazę warkliwym krzykiem:

— To jo do ciebie, rabusniku, chowałam, trypciłam, zaskakiwałam? Chcioleś pozyczyć, pozycyla. A teraz oddej, oddej, bo cie to ozede!... — I wyciągnęła szponiaste, rozstawione palce rąk ku Plazie.

Plaza wodził za nią oczami i nie się nie odzywał. Coraz teraz poglądał na swoją kobitę, uwijającą się pośród dziecek i wedle komina. Był ugnębiony tem zdarzeniem, zmordował się kłótnią niczym jakim ciężkim harunkiem. Poczul, że sekutnicy nijak nie przemoże. Ani złością, ani rozważą słowa, ani cierpliwością — nie przemoże. To już poszukał spojrzeniem oczu swojej Baśki, jakby u niej chciał poczerpnąć nowych sił do walki.

Plazina nie mieszała się do sporu ani półsłówkiem. Cierpła ino za każdym co sroższym napędem kłótni, a w duszy czuła taką gorę, jaką się ma od niezasłużonej krzywdy. Bo i jakże, Boże mój kochany! Przecie robią w domu wszyscy dowyrup, nie dośpią, nie dojedzą, nie użyją nic dobrego, a do tego długu, co ulągł się w dobrych czasach, ani się odpedać. I niema nierzaz dnia, żeby kto nie przyszedł z krzykiem, z zemstą, z podłą kłatwą. Daj i daj — nie nastarczyć tego dawania. Pożyżyłeś na raz w gębę, a teraz oddawaj cały śpichlerz. Co za świat, co za czas!...

Wczoraj wieczór przylaził Siąniasty Stasiok. śladł se w kątku jak jakiś bidulak bez portek, choć sam nie wie co robić z pieniędzmi, stęknął żałośliwie i nie ino: „E! el kumie, myślicie, myślicie!“. Dzisiaj zrana przyniósł o milę. Gruby Kaźmirz — i dalej cholewować i ściągać kłęsk i pieronów. A teraz oto ta Krysina godzinami zadreżca i piekluje, że aż człowiek od rozumu odchodzi. Że już same ręce opadają. I coś się tam w tem sercu budzi takiego, srogość taka na nich, na tych wieźrycieli niemileśniernych, harpezyńnych, checiwych na ostatni pot dłużnika. Och, i ta Krysina popłakuje na swoją krzywdę! Na krzywdę...

Plazina podchwyciła wzrok chłopca, bezradny i proszący. Weszła w nią, łagodną kobitę, siła i odwaga. Zahamowanym, a przecie rozdygotanym głosem zapoczęła:

— Kumoska, sami wicie, z czego zecicie nom pozycyli.

— Juści wiem. Uchowałam wieprzka i dałam. — Harda odpowiedź Krysiny dziwnie się nie stroiła ze słowami tamtej.

— I jo chowam i tyz nie przemarnuje. Uchowaliście wieprzka, sprzedaliście i pozycyliście nom. No, a my sprzedaliśmy może jeszcze wiekszego i oddaliśmy wom. I dużośmy oddali? Odrobine, cęstecke niedużo.

Krysina wlepiła oczy w Plazinę i nie wiedziała co na to powiedzieć. Z tej miny przegłądało niedorozumienie — do czego ta Stachowa pije? Cóż tu ma jedno do drugiego!

— Kumoska, wicie co wom powiem? — ośmieliła się Plazina.

— No.

— Doloze wom jesse dwie paśne świnię... dodam do tych dwóch jesse jedną — i kwita z wami i z nami, dobrze?

Krysina jakby ukropem oblał przy tych słowach. Wzgnęła, zatupała nogami, zaczęła ciąć rekami naoslep kóło siebie i co sił w piersiach prysnęła:

— Co?! Jo tu do was na przepkinki przystam? Przysłam po moję. Oddać co mi się należy! Natychmiost, bo kumornika... — Spleniony bełkot rozlał się wśród ścian, coraz dzikszy i szaleńszy.

Plaza porwał się na nogi i leciał ku rozszalałej babie. Chwycił ją za ramię...

— Ty siałandulo, ty rapulo, ni mozes zladować pinidzzy?... — ziała mu prosto w gębę straszliwego, to idź do swojego tatusia, żeby ci pokozoł jak sie gospodarzyć. Jak mić pinidze. Do ojca sie idź uczyć, ty! I niech ci ociec da, a trza oddać, e się komu winno. Idź do ojca, jedynoku! Do ojca!...

Plaza Krysiny z izby nie przegonił. Kiedy Krysina wymówiła słowo „ojciec“, Plaza wzdręgnął się z nagłą, odsunął rękę od baby i stał pośrodku izby bez słowa i ruchu. Czerwona łuna oblała mu jagody i nie schodziła. Pod nawisłymi wąsami po wargach zaciśniętych przeleciał żaloszny uśmiech.

Słowa Krysiny roztrworzyły w Plazie niezagojoną ranę. Przez

tyłe — tyle lat paprała się ta rana, już widziała się niekiedy zaklepiona, ażeby przy ładajakim zdarzeniu odkryć się oczom i boleć. Boleć najgłębszą boleścią serca. Cichą, skrytą, mówioną tylko najbliższym.

Ojciec...

Ile razy wymówił kto to słowo, kiedy ino padło ono Stachowi Plazie na myśl, wtedy zawsze ścisnęło się chłopu serce od ciętego bólu. I długo, długo siedziała w sercu zadra, niczem nie ułagodzona, nie do wyrwania. Śród trudu gospodarskiego, codziennych pilnych zabiegów, srogich zmartwień i nikłych radości nie przepominała się wcale i coraz dawała znać o sobie. O, choćby i dzisiaj. Tak ni stąd ni zowąd...

A przecie ten ojciec ma go ino jednego na świecie. Jedno dziecko, jednego syna — jedynaka. Ale ojciec jakby tego wcale nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć. Zbył se z głowy chłopaka, skoro Stach do lat doszedł, wypchnął go z domu do ożenku — i rób sobie, jedynaku, jak tam chcesz. Jego, ojca, już głowa boleć nie będzie, czy ci wypadnie w życiu tak czy owak. Co jemu do tego.

Stach — jednak nie brał sobie wtedy bardzo do serca, że ojciec wypuszcza go od siebie tak hładnie — bez morgi wiana i bez groza na pierwszy początek. Był młody, dzielny, gospodarny, to na co mu się oglądać na ojcową pomoc. Sam se da radę bez ojca. A co mu się po ojcu należy, to nie przepadnie. Przyjdzie wkiejś czas na to. Ojciec przecie wiekował nie będzie.

Z trochęa grosza po nieboszcze matce przyszedł Stach Plaza z rodzinnych Dobrocic na Ocinek. Niezgorzej się tu ożenił, samo sześciu od samego początku zaczęło mu się zapowiadać. Ale jak to szczęście: pokazało się oczom i wnet przepadło. W jednym roku chrzciny synusiowi, a już w drugim pochówek kobiecie musiał Stach porządzić. I wiano kobiecie od niego pod czas odeszło, bo sierotkę zabrały dziadki do opieki, żeby chłopaczka wychować, a jak urośnie do pełnych lat, to mu dopiero całą matczyną część oddadzą.

## Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH.

ANDRZEJOWSKI Z.: Tajny front. Powieść, 80, str. 256. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 3.90.

BIERBAUM A. C.: Z Bogiem, Rozmyślenia dla świeckich, z niefr. przełożył Ka. Fr. Ilków, 80, str. 641, Kraków 1934. Wyd. Ks. Jezuitów. Zł. 5.

BOCHDAN-NIEBENTHAL MARJA: Ucayali. Raj czy piekło nad Amazoneką, z 38 ilustr. z mapką, 80, str. 165, Warszawa 1935, Dom Książki Polskiej. Zł. 5.50.

BOUKOLOWSKA E. i KOTARBIŃSKI M.: Ćwiczenia z zakresu geografii i przyrody, I, z 16 rys., 80, str. 96, Warszawa 1934, Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

BBENSZTEJN M.: Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski na 2miedzi w pierwszej połowie XIX w., 80, str. 112, Wilno 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 5.

COURTHS-MAHLER J.: Gdyby życzenia zabijały. Powieść. Przekład E. Sołskiej, 80, str. 256, Warszawa 1934, S. Cukrowski. Zł. 6.

DISZARD J. KS.: Wielki majonarz ludowy czasów naszych O. Franciszek Tarin 1847—1910. Przel. z franc. Ks. M. Malaczek, 80, str. 226, Kraków 1935. Wyd. Ks. Jezuitów. Zł. 1.80.

LITWIN A.: Organizacja wycieczek na podstawie nowych programów szkoły powszechnej, I, II, 80, str. 82, 83, Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

LUCY J.: Badacza życia. Przekład z ang. z przedmową i pod redakcją prof. dr. J. Wilczyńskiego, z 127 ryc., 80, str. 488, Warszawa 1934, Gebethner i Wolff. Zł. 9.

MAKOWSKI W.: Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna. Wyd. 2-gie, 80, str. 54, Warszawa 1934. Biblioteka Polska. Zł. 1.50.

MISSONA K.: Inscenizacja Pana Tadeusza A. Mickiewicza. ułożona w 9 odsłonach. 80. Str. 90. Kraków, 1934. Tow. Szkoły Ludowej. Zł. 1.50

MICKIEWICZ A.: Pan Tadeusz

Dobrze, że wycofał od teściów swoje pieniądze i mógł jeszcze zakupić kawał pola z pobudynkami. Wprędce padła wojna, i coby to było, gdyby nie miał swojego oparcia, ej! Do ojca iść? Kiedy ojciec właśnie drugi raz się ożenił, gospodarzył z nową kobitą, dorabiał się, jak zmlodu, a synowe strafunki nie go nie obchodziły. Twardy ojciec. Stach Plaza i teraz też na ojca nie pytał, ino się bez niego opętoł i wespół z dzielną Baśką zaczynał odnowa gospodarski żywot. Dał sobie radę — i jak jeszcze. Miał dostatek, żył porządnie, galanto się pobudował. Darzyło mu się wszędzie i na wszystkim, Pan Bóg zesłał kilkoro dziecek, zdrowych, grzeborliwych. Nawet mu przez myśl wtemczas nie przeszło, żeby mieć pretensję do ojca, co tam w Dobrocicach bezzdnie żyje, służące dziwki krowami i wianem obdarta, na pieniądzech leży, a jedynakowi dać co — to się nie omylił, Stachowi Plazie łaski ojca nie były wtedy potrzebne.

— O, ociec. Gospodrzem byli i będą. I to nie ładajakim... — mawiał nie bez dumy z każdym, kiedy się już zgadalo o dobrocickich Plazach.

I żyłby ojciec i syn, ten sobie i ten sobie, ten tu a ten tam, jeśli by żywot dla obu jednako się rozciągał. I żalby się w synu na ojca nie narodził, ani rany serdeczne, gdyby to wszystko szło w świecie i w domu na zdrowie i pożytek. Przyjdzie odmiana na złe — i radź-no tu, człowieku!

Nie poradził, nie mógł sobie poradzić Stach Plaza, gdy ciężka piersiowa choroba chwyciła kobietę i mordowała długo. Był jakiś zakład w gotowym groszu, to się rozwiął na doktorów, na babki, na lekarstwa i pomoce. Dużo tysięcy trza było pożyczyc na ten daleki wyjazd, na długie tygodnie leżenia w Zakopanem. A tu jeszcze odmienił się czas, dotąd dla chłopca łaskawszy. Czas naniósł na wszystkich tyle bid przeróżnych, rozpległych przez taniznę chłopskiego dorobku, że i poradzić niełatwo kłopotoskom. A gdy się ma gromadkę dziecek do wyżywienia i ogarnięcia, a jeśli nadobitkę przyjdzie znista i upadek ze sro-

giego trafu, no to już wtedy nie wydołasz, choćbyś niem jak zabiegał. Trza pójść do ludzi za pożyczką, musowo trza, i już leży oto jarzmo i twardy obowiązek, ażeby na procenty obracać trudy całych lat.

Plaza zalał w dług. Nie martwił się nim, bo zdrowie cenniejsze, aniżeli ten ciężar, wzięty na bary. Odda się, co się nie ma oddać. Aby ino zdrowie...

I harowali ile sił oboje, doganiali dorastające dziecka, całą hurmą domowych ciekali około roboty, aby ino obeznać się przed wydatkami — i dług oddawać. Z wielką bidą, ale dług topniał, powolutku, ale malał. Już się im widziało lżej, jaśniej.

Ale nowa okazja stała napodrędzium.

Chłopak — podrostek, po pierwszej kobiecie wrócił do ojca. Dziadki powymierały, majątek się podzielił, trza było i jemu zabierać swoją część po matce. Ano i dług niezgorzej razem z tą częścią. Plaza przygarnął chłopaka z wrażliwością i nowych parę tysięcy dołożył do swojego długu. „Z większej posiadłości więcej przecie grosza zegnać się powinno“ — myślał. A juści, nie inaczej.

Plaza zganiał doroku akuratnie tyła, żeby poodawać narosły przez rok procent. Na wielką siłę, jeśli już nieomal od gęby sobie odjął, to umniejszyć kapitału o jaką odrobine. O oddaniu sporszej sumki zamarzyć nawet było trudno. Choć głową tłuc o mur, więcej się z gospodarki dzisiaj nie wyciągnie. Na nic staranie, na nic umęczenie.

W frasunku, w gorzkich myślach łączył swoją dolę z dolą bogatego ojca, przymierzał, rozpatrywał. Ciężko mu było pojąć tej sprawy. Jakt? To on się zabija, latami morduje, a ojciec — jakby nie rodzony ojciec. Mało, że rady nie przyniesie, ale się nawet nie spyta, jak jednak z bidą się ułatwia. Jakby go wcale nie obchodziło, co u syna słycał. A przecie napewno wie od ludzi, co się dzieje u młodych. Wie, a udaje, że nie wie.

Już nie mógł ugniołu, ale obojętność i sokoństwo ojca zaczęły srogo doskwierać Stachowi. Nie raz głęboko się zadumywał i wzdychał. Cierpienie nasiłalo się od tej rany, tak piekającej w nieustannem doskwieraniu przy każdej myśli o tamtym.

— Oj, ociec uni, ociec. Ojcem byiby lepszy.

Kiedy chłopak — sierota po pierwszej kobiecie rozchorował się na płucą i było z nim coraz gorzej a z leceniem coraz ciężej, bo i skąd brać tego grosza na wydatek donosny, zdjął Stach Plaza dumę z serca i przy jarmarcznej okazji wyłożył ojcu — jak i co. Że nie chce, żeby mu ojciec dawał jaką pomoc, nie, niech chociaż pożyczyc z trochę, niech na procent pożyczyc, na weksle. Uczelwie zwróci na czas, jeszcze fundy sprawi z wdzięczności. Dziś przecie nikt mu pożyczyc nie chce. Nie ma gdzie się udać.

Stary odrazu skreślił z miejsca: — O, ni mom. widzis. Miolem trochę, tom spłacił rote za ten dywon do klicnoskiego kościoła. Wyciągnąłem sie. Som wis, co to kosztuje. — Wiedział Stach Plaza, co kosztują ojca owe dywany, ołtarze i różne kupna do kościołów okolicznych. Wiedział on i o kolicia ile ofiar wyłożyły na boską chwałę bezzdnie Plazy z Dobrocic. Płynęła im stąd sława niemala i głośna. Sam prafat wielbił i wynosił w sandomierskiej katedrze te uczynki i ofiary nabożne. Ktoby ta nie słycał o dobroczyncach?

Dobrocicki Plaza ocińskiemu synowi grosza nie pożyczyc. Zaś niezadługo pomarł Stachowi ten chłopak, a żałosci po jego śmierci nie ulżyły ludzkie życzliwe języki. Żywo doniosły złołemu Stachowi, że — o, właśnie jego ojciec pożyczyc temu tam dwieście, a inszemu trzysta...

Długie lata boli Stacha Plazę ta skryta serdeczna rana. Imię „Ojciec“ jątrzy ją i rozpieka żywym ogniem męki.

Dobrocicki Plaza ocińskiemu synowi grosza nie pożyczyc. Zaś niezadługo pomarł Stachowi ten chłopak, a żałosci po jego śmierci nie ulżyły ludzkie życzliwe języki. Żywo doniosły złołemu Stachowi, że — o, właśnie jego ojciec pożyczyc temu tam dwieście, a inszemu trzysta...

Długie lata boli Stacha Plazę ta skryta serdeczna rana. Imię „Ojciec“ jątrzy ją i rozpieka żywym ogniem męki.

Drzwi chybotały się jeszcze w

zawiasach, jakby się trzęsły z żałości, że ta Krysina tak srogo się z niemi obezła. I choć baba wypadła już na dwór, ale w izbie buczą jej cięte słowa i gryzą jak podrapane osy.

— Oddej, rabusiu, co moje!...

Na kominie kipią garczki, śwąd unosi się znad blachy. Plazina jakby zapomniiała ze szczeniem, co jej trza robić. Dziecka siedzą markotnie po kątach i się nie odzywają. Stach Plaza zmartwiał i poszarzał. Stoi wpodłe okna, pogląda na drogę, ale na tej drodze widzi ino w oczach ten kształt, tak drogi sercu i tak temu sercu oporny. Ojciec jest na oczach. Ojciec!

— Trza widać pójść — odwrócił się na izbę.

— Gdziez chcesz iść? — ledwie się pyta kobita.

— Gdziezby! Do ojca.

Plazina woli się więcej od chłopca nie wysłuchiwać. Przecieć miarkuje, że mocno musiało mu dogryźć to piekło od sekutników. A już ta Krysina, co z jego ojcem wyjechała, to chyba najwięcej. Że dojechała, to dojechała — Plazina wie, jak silnie chłopu dopiekła. Palnęła w delikatne miejsce — i widać dobrze trafiała, skoro Stach chce iść tam. Nigdy tam w pilnych ciężkich przygodach nie bywał. Jeśli bywają u siebie, to tak familijnie, żeby się raczyc przyjęciem i gadać o zbiorach i pogodzie.

Chłop przywdział lepsze szmaty, wziął z kąta antypkę i bez słowa wyszedł z chałupy. Nawet nie zauważył, kiedy się znalazł w tych stronach, tyle pamiętnych z chłopackich czasów. Cichy żal wylał z duszy w Pęczynach za tamtymi latami, kiedy to się hulało i wybiłają nogami kawalerską fantazję na Rybikowem graniu. Uśmiechnął się do dobrocickich łąk, gdzie się tuzował z Pielaszkowakami. O, i wieś rodzinna na podrezeu: pod drzewiastym baldachem ciągną się chałupy Siudaków, Pronobisów, Piekosiów, Młodoczeńców. A dalej jeszcze wawozik, las, Podlasie — i zza zakrętu prymią się już znajome, paradne, ojcowe pobudynki. Warkliwy Gudło ciska się na łańcuchu. Niedziwota. I on broni przed obcy.

Stach Plaza zaraz od furtki zauważył, że na oborze niema wozu. „Widać są w polu“ — pomyślał. Wszedł do sieni. Rosta i strojna służąca dziwka miesiła w eobrzyku żarcie dla świń.

— Pochwalony!

— A na wieki! — Okragła jak miesiąc, spasiona gęba dziewczuchy nakierowała się na chłopca. Oczy patrzyły hardo i jakby złośliwie. Widać dużo o synu swojego gospodarza slychata i wiedziata.

Stach obrucił ją wzrokiem i spostrzegł zaraz te gorność. „Widzicie, kocmotucha! Jak sie to patrzy na cłowika“ — rozleciało się mu w myślach. „Nie inacy, ino laduje sie ji tutaj krowa i porządne wiano z weselom. Ociec są miłosierni dlo sługów...“ I dodał nagłos:

— Ociec wdoma?

— Nima. Oboje pojechali.

— Gdziez pojechali?

— A do Jonikowa. Bedzie temp ze dwie godzin.

— Do Jonikowa! Co tam mają za interes?

— A po figure. To jesse nie niewie?

— Nie slychom. Po jaką figure, powiedz!

— A figure stawiają kole smentorza w Malicach. Sprzedali ciotka, świnię, mieli trocha swoich pieniedzy i kupili figure za styrysta złotych. — Słowa służącej dziwki grzmiały dumą i przechwiałką, że, patrzcie, u jakiegoto ona gospodarza służy!

Plazę jakby kto po ibie zdzielił. Prośba, piekący interes, wszystkie dobre od tego słowa leżały porozbijane o ten kamień janiłowski. Niema co czekać. Obrócił się ku drzwiom.

— Ej, a cegoście chcieli? Cego uciekociele!... — leciały za nim kpiące słowa.

Stach Plaza już ich nie slyszal. Nacisnął kaszkiet, wypadł z obory, jakby przed kim uciekał, i gnał dużymi krokami po tej samej drodze, która co ino przyszedł. Czasem przystanął, żeby złapać tchu, i wtedy chrapliwy mamrot przepłatał się z wydechem:

— Aa! Figure stawiają. Figure!...